

Katolicy - nowa mapa

WSAMYM ŚRODKU TEGOROCZNEJ JESIENI katolicy w Polsce dowiedzieli się – z depeszy Katolickiej Agencji Informacyjnej datowanej na 21 października – że „biskupi zdecydowali”, iż Komunię świętą będzie można przyjmować nie tylko bezpośrednio do ust, jak dotąd, lecz i do ręki, jak to się dzieje w większości krajów Europy. Kilkadziesiąt godzin później „Nasz Dziennik” poinformował, że według rzecznika prasowego Episkopatu treść depeszy nie jest zgodna z prawdą, a w najbliższym czasie żadne zmiany nie nastąpią. Po kilku dniach samo Biuro Prasowe Episkopatu Polski wyjaśniło, że sprawa jest dopiero „przedmiotem dyskusji”. Rejestrując tę serię sprzecznych sygnałów, nawet niewprowadzony obserwator mógł się zorientować przynajmniej, że chodzi o coś delikatnego, ważnego i będącego przedmiotem kontrowersji: tu ktoś coś forsuje, a tam ktoś się przed tym niemrawo broni.

Spór o „Komunię na rękę” dotyczy sprawy wielkiej wagi dla każdego katolika rozumiejącego swoją wiarę i rolę znaków liturgii w jej kształtowaniu. Chodzi o uszanowanie Chrystusa przyjmowanego w Eucharystii, o gest szacunku, który wyraziście, na co dzień i bez słów (bez panaceum „dodatkowej katechezy”) powie, że tu przyjmuje się Boga, a nie tylko bierze wspólnotowy posiłek. Dlatego sędzę – w zgodzie z wypowiedziami wielu autorytetów Kościoła i w duchu zastrzeżeń Rzymu – że wprowadzanie dziś, po wszystkich złych doświadczeniach z tą praktyką na Zachodzie, zbanalizowanej formy podawania Komunii do ręki jest kolejnym elementem desakralizacji liturgii, ściągającym obliczalne ryzyko strasznych nadużyć.

Jednak spór o „Komunię na rękę” jest ponadto fragmentem – to prawda, że niewralgicznym – większego sporu o Kościół, toczącego się w świecie katolickim co najmniej od czasu Soboru Watykańskiego II. Ekumenizm, wolność religijna, reforma liturgii, dialogi międzyreligijne, kapłaństwo kobiet, ministrantki, antykoncepcja, udział katolików w życiu publicznym... – we wszystkich tych kwestiach biegunowo różne stanowiska wyrażają modernisci/liberałowie i tradycjoniści/konserwatyści. Pierwsza ze stron powołuje się nieustannie na ducha „rewolucyjnego Soboru”, druga woli zwykle sięgać do wcześniejszej Tradycji albo – zgodnie z życzeniem Papieża – chce „interpretować Sobór w świetle Tradycji”. Jest to równocześnie starcie dwóch rozumień chrześcijaństwa, dwóch interpretacji jednego Soboru i dwóch „kultur katolickich” - uformowanych bądź w oporze względem nowoczesnych ideologii, bądź w nadziei na adaptację do „ducha nowych czasów”.

Tak to wygląda z perspektywy logiki czystych idei. Jednak logika idei i bieg życia to jakby dwa różne spojrzenia na ten sam świat. Schemat sprzeczności idei zawsze jest dość łatwo zarysować – lecz faktyczne wielkie burze ideowe odbywają się z reguły w atmosferze mniej przejrzystej, umykając schematowi. Dlatego ich opis przypomina raczej dynamiczną *mapę pogody* – ze stałymi biegunami idei, typowymi klimatami środowisk i zmiennymi pogodowymi tworzącymi się nurtów – a nie martwą tabelkę z ufryzowanymi pojęciami.

Od kilkunastu lat mapę polskiego katolicyzmu rysuje się według kontrowersji między dwoma biegunami: „Tygodnikiem Powszechnym” i Radiem Maryja, między elitami katolicyzmu liberalnego i radiofonizowanym kołosem katolicyzmu ludowego. Czy ten podział jest polską odmianą wielkiego ogólnokościelnego, a nawet ogólnoswiatowego sporu między liberałami i konserwatystami? Warto się nad tym zastanowić, zanim spróbujemy wykreślić bardziej aktualną mapę katolicyzmu.

Pierwotna tożsamość „Tygodnika Powszechnego” wynikała ze spotkania trzech bliskich sobie nurtów, nieraz zresztą współwystępujących w osobistościach tego środowiska: katolickiego modernizmu (tu pojętego w sensie nie tyle sprecyzowanego stanowiska teologicznego, lecz ogólniejszej opcji światopoglądowej), maritainowskiej chadecji (z ambicją umiejscowienia chrześcijaństwa wewnątrz liberalnej demokracji) i – wymuszonego okolicznościami panowania komunistów – tzw. minimalizmu, zakładającego rezygnację ze społeczno-politycznej aktywności katolickiej. Jednakże szczególne poczucie misji cywilizacyjnej pojawiło się w tym środowisku w latach 60., gdy tożsamość „Tygodnika” została dopełniona o zaangażowanie na rzecz „ducha Soboru”, co oznaczało promocję sukcesywnie uskrąjnianych progresistów-

skich interpretacji dokumentów *Vaticanum II*. Będąc przez lata, zwłaszcza w okresie stanu wojennego, niezwykle trybuną naziemną opozycji antykomunistycznej, „Tygodnik” stawał się równocześnie coraz bardziej otwarcie – w pewnej zależności od słabnącej ręki władzy kościelnej – organem katolicyzmu liberalnego, mocno zażenowanym z powodu „zapóźnień” Kościoła polskiego.

W latach 80. „Tygodnik Powszechny” rządził opinią katolicką jak chciał i wychowywał zapatrzone weń elity kościelne, napotykając z rzadka na fomy i bierny opór garstki malkontentów, zwykle wiekowych rozbitków „starego Kościoła”, którzy narzekali na boku na „nowinkarstwo” i „protestantyzację” lub gorszyli się gorliwie filosemicką linią krakowskiego periodyku. Zmiana przyszła na progu odzyskanej niepodległości – dla większości parafialnych i episkopackich prenumeratorów autorytatywnego organu *przyjaciół Ojca Świętego* szokiem było zaangażowanie środowiska „Tygodnika” w polityczne kampanie Unii Demokratycznej, udział w nagonce *liberałów nadwiślańskich* przeciw rzekomej „chomeinizacji” Polski i wstręt do odwoływania się w prawie Rzeczypospolitej do „wartości chrześcijańskich”, wreszcie inicjatywy parlamentarne ludzi KIK-u i „Tygodnika” na rzecz jakiejś formy prawnej dopuszczalności zabijania nienarodzonych, a przynajmniej niekaralności tej zbrodni. Także wymiana idei, tekstów i autorów między „Tygodnikiem Powszechnym” i „Gazetą Wyborczą” sprawiła, że kredyt zaufania do legendarnego tygodnika krakowskiego topniał razem z jego nakładem. W klimacie właściwym Polsce środowisko mogło liczyć na taryfę ulgową dzięki zażyłości jego tuzów z Papieżem, lecz kiedy Ojciec Święty poskarżył się publicznie w roku 1995, na dodatek w liście z serdecznymi życzeniami, na to, że w „trudnym momencie Kościół w »Tygodniku« nie znalazł, niestety, takiego wsparcia i obrony, jakiego miał poniekąd prawo oczekiwać”, taryfa ulgowa przestała obowiązywać. Co prawda nie doszło nigdy nawet do próby poskromienia pisma w związku z jego kontrowersyjną linią i ekscesami reprezentatywnych autorów (nie wiadomo, czy z racji jakichś zadawnionych kompleksów, poczucia bezsilności, czy z powodu naszej słowiańskiej pobłażliwości, gospodarskiego lekceważenia ulotnych idei). Jednak „Tygodnik” przestał być słońcem, w którego świetle patrzy się na świat. Z faktycznie liberalnego przewodnika ogółu katolickiej inteligencji „Tygodnik” stał się po prostu katolickim uczestnikiem liberalnego forum opinii. Czar prysł, pozostali starzy przyjaciele i najwierniejsi czytelnicy, z jaką taką zastępowalnością pokoleń i z niezagrażoną pozycją jednego z ważniejszych ośrodków opiniotwórczych. Środowisko „Tygodnikowe” nie kryło swego rozczarowania względem „polskiego Kościoła” i przyjęło postawę skrzywdzonej mniejszości, deklarując, że – po półwieczu działalności, a po co najmniej dwóch dekadach swoistego „rządu dusz” względem katolickiej inteligencji – reprezentuje co najwyżej

(!) dwadzieścia procent polskiego Kościoła. Na pozostałe osiemdziesiąt procent wylewano coraz gorsze oskarżenia, w swoistym polifonicznym chórze z „Gazetą Wyborczą” i z kabarecikiem Olgi Lipińskiej.

W tej sytuacji wyróżnił się dynamiczny rzecznik „milczącej większości”. Powstało Radio Maryja. Początkowo traktowane z dużą pobłażliwością – jako „radio dla dewotek” – okazało się czymś znacznie więcej, pierwszym masowym katolickim medium interaktywnym, opartym na kontakcie ze słuchaczami. Śmiano się z jego nieporadnych początków, tymczasem założyciel Radia Maryja dokonał swego cudu organizacyjnego.

Radio walczyło w dobrej sprawie – organizowało manifestacje w obronie życia, mobilizowało do odrzucenia potworkowatej Konstytucji, bojowało z mentalnością bezdyskusyjnego dostosowania do „standardów europejskich”. Ojciec Dyrektor połączył to z oskarżeniem Jacka Kuronia o odpowiedzialność za zbrodnię katyńską i z uznaniem Unii Europejskiej za „coś gorszego od Związku Radzieckiego” – co musiało budzić pewne zażenowanie choćby u części odbiorców toruńskiej rozgłośni. Jednak wobec lęklivosti naszych elit, wobec pacyfikacyjnej postawy establishmentu kościelnego, nawet te złe wróżące ekscesy i lapsusy uznane zostały po prawej stronie za „przerwanie milczenia”, „odwagę myślenia” itp., a ośmieleni słuchacze, od kmiecia do klerka, pili duszkiem także te zupełnie nieprzytomne koktajle Ojca Dyrektora. Nawet ci, którym one nie smakowały, zachowywali się jak laureaci „orderu uśmiechu” po wypiciu szklanki soku cytrynowego – uśmiechali się bohatersko. Przez dłuższy czas wydawało się zresztą, że to li tylko „kwestia smaku”, a *de gustibus* – w zasadzie – *non disputandum*. Liczyły się przecież inne, ważniejsze fakty, tworzące piękną kartę Radia Maryja: miliony modlących się ludzi, otwarcie niepowtarzalnego „kanału modlitewnego” i masowej katechezy, konsekwentne i zadziorne podtrzymywanie pewnych postulatów katolickich (które z innych stron uzyskiwały mizerne wsparcie), widoczny nonkonformizm w stosunku do standardów liberalnych, a w każdym razie względem „politycznej poprawności”. I tak Radio przyciągnęło do siebie większość aktualnych i potencjalnych *fighter’ów* prawicy narodowej. Otrzymywało ich wsparcie w chwilach, gdy ważyły się jego losy. Potem jednych asymilowało, drugich po wykorzystaniu odrzucało, a trzecich formowało do głębi na swój obraz i podobieństwo.

Radio stało się ośrodkiem, wokół którego śmigają w kole rycerskim koniki polskiej Konfederacji – postsolidarnościowego, antykomunistycznego popospolitego ruszenia patriotów-sobiepanów, wykwit polskiego patriotyzmu późnosarmackiego i romantycznego. W nieustannym ruchu, pod ostrogą „ostatniej nadziei”, w desperacji i w dyscyplinie obozu wojennego, lecz na

lotnych piaskach natchnień jednoosobowego kierownictwa, które zastępuje dawnego Księdza Marka. Konfederacja wojuje niemal wyłącznie wielkimi hasłami, podsuwa na każdym kroku spiskowe podejrzenia, stawia każdej polskiej władzy, jako władzy, wymagania nie do zaspokojenia w realnym życiu, zawsze w imię Boga i Polski. Równocześnie to właśnie samo Radio Maryja stało się potężną instytucją duchowej mobilizacji, a utworzone z jego inspiracji dzieła – „Nasz Dziennik” czy Instytut Edukacji Narodowej – wykonują także wiele dobrej pracy informacyjnej lub formacyjnej, w której nikt ich nie zastępuje. Czy jednak to wystarczy, by właśnie Radio Maryja uznać, na dobre i na złe, za ośrodek integracyjny polskiego konserwatywnego katolicyzmu?

Pod względem religijnym przekaz Radia jest konserwatywny zasadniczo w tej mierze, w jakiej konserwatywne są nastawienia i intuicje mas pobożnych słuchaczy. Raczej nie więcej – być może ciut mniej. Radio nie uczyniło i zapewne nie uczyni tu ani kroku naprzód. Wbrew pozorom nie jest to wymuszone okolicznościami (czy zresztą są takie okoliczności, które hamowałyby kierownictwo Radia?), lecz wynika z formacji radiowych duszpasterzy. Wielkie i małe koncelebrzy Radia, pełne przemówień, oklasków, żywych dialogów, atmosfery łapania się za ręce, są dalekie nawet od przyzwoitego liturgicznego konserwatyzmu księży usiłujących ratować co się da z ducha liturgii w ramach nowego rytu. Są za to wyrazistym wcieleniem idei połączenia szlachetnej materii swojszczyzny naszej ludowej pobożności z egzaltowaną formą animowanych duszpasterstw młodzieżowych, połączenia Różańca z „alleluja i do przodu”, Jasnej Góry z ekumenicznym sacrosongiem.

Publicyści liberalni ze wstrętem wytykają Radiu rzekomą antysoborowość. Być może z ich perspektywy „antysoborowe odchylenie” dotyka wszystkich poza garstką oświeconych, jednak taka ocena Radia jest absolutną pomyłką lub celowym nadużyciem. Owszem, Radio bazuje na masach katolicyzmu ludowego – i w tym sensie jest względem tego nurtu i zakładnikiem, i rzecznikiem. Katolicyzm ludowy to potencjał katolicyzmu tradycyjnego, lecz Radio nie działa na rzecz przekształcenia tego potencjału w formy świadome i czynne „kontreformacyjnego” tradycyjizmu czy konserwatyzmu. Świadczy o tym choćby treść katechez i publicystyki religijnej, balansujących między nauczaniem papieskim i „objawieniami z Medjugorje”, intronizacją Chrystusa Króla i zielonoświątkowym „przyjęciem Jezusa jako swego osobistego Pana i Zbawiciela”. Program duszpasterski Radia jest więc po prostu tradycyjny tylko w tej mierze, w jakiej pobożne masy zakochane na zabój w Radiu wolą odruchowo to, co swojskie, od tego, co obce. Jasne, że wciąż swojskie jest majowe i adoracja Najświętszego Sakramentu przed monstrancją na kolanach – a obca importowana z Zachodu Komunia „na rękę”.

(nie)nadzwyczajni szafarze czy Dzień Judaizmu. Ale swojski, bliski, swój jest już także ksiądz sypiący kawałami zza stołu-ołtarza w celu „wytworzenia wspólnoty”, megakoncelebra, świeccy z naszego polskiego Ruchu Światło-Życie, uwijający się w liturgii, pięknie czytający i pięknie śpiewający i pięknie znoszący dary – podczas gdy obcy i niewiadomego pochodzenia, wręcz „importowany z Zachodu” wyda się dziś gregoriański chorał czy cisza liturgii trydenckiej, duchowość mniej egzaltowana i mniej zależna od objawień prywatnych. Jak widać, kryterium „swojskości” i „obcości” jest obosieczne.

Istnieje także aspekt sprawy równocześnie kulturowy i polityczny. Radio Maryja przyciągnęło do siebie wiele osobistości prawicy narodowej właśnie dlatego, że dało się poznać jako ośrodek żywego patriotyzmu polskiego. Niestety, wybrało jego formę na zewnątrz czysto defensywną, a wewnątrz konformistyczną względem polskich słabości, bez aspiracji do budowy chrześcijańskiego nacjonalizmu *nowoczesnego Polaka*, mniej łzawego i desperackiego, a bardziej obowiązkowego i skutecznego w praktyce życia społecznego. Patriotyzm w wydaniu Radia jako swojskie rozpozna relikty PRL-owskiej gospodarki socjalistycznej, za narodowy ruch oporu uzna blokady dróg, znajdzie uzasadnienia dla kolejnych roszczeń klasowych i zawodowych względem własnego państwa, chętnym uchem i lekkim językiem uczestniczy w każdym wybrzydzeniu na lata odzyskanej niepodległości, przestrzega przed „ingerencją” w sprawy Białorusi, ma zrozumienie raczej dla „dobrosąsiedzkich stosunków z Rosją” niż dla sojuszu atlantyckiego, słowo „Zachód” kojarzy mu się jak najgorzej, Stany Zjednoczone – chyba wyłącznie z masonerią i rozwiązłością, za to „bojownicy arabscy” są porównywalni do AK i NSZ. Tak się zresztą składa, że wielkie spiski ciemnych sił rządzą Zachodem, ale omijają Rosję (i kraje islamskie). Ludzie Radia wiedzą do jakiej loży należy Bush jr., za to KGB-owska tożsamość drużyny Putina nie budzi w nich takich emocji; demaskują „trockizm” neokonserwatystów, ale razem z miejscowymi trockistami protestują przeciw wojnie z Irakiem; ostrzegają przed antychrześcijańskim rządem światowym, a odkrywają dobrodziejstwa multilateralnej „równowagi sił” strzeżonej przez ONZ. Jest to dość zawikłane i dwuznaczne, lecz podstawowe komunikaty, wmiksowane w patriotyczne tony i wchodzące z nimi do samego serca wielu szlachetnych ludzi, są wciąż podobne: Zachód jest szatanem, Polska niepodległość to pasmo zdrady, liberałowie są gorsi niż postkomuniści, Radio Maryja jest ostatnią szansą dla Polski, nie wierzcie nikomu poza nami. Jeśli jest to jedynie wersja jakiegoś narodowego separatyzmu ożenionego z antyzachodnim resentymentem na tle Jałty i niechęci do liberalizmu oraz doprawionego saskim dziedzictwem braku odpowiedzialności za państwo – byłoby i tak nienajgorzej. Tak czy inaczej, destrukcyjne skutki tej *politgramoty* są oczywiste. Autorytety Radia lubią w wypadku dociekania mechanizmów różnych wydarzeń robić oko do

swej publiczności i powtarzać pytanie starożytnych: *cui bono?* „Pomyślcie, komu to służy”. No właśnie, pomyślcie!

Biorąc to wszystko pod uwagę, trudno uznać polaryzację między „Tygodnikiem Powszechnym” i Radiem Maryja za wcielenie zasadniczej kontrowersji między liberalizmem i tradycjonalizmem. Trudno to uczynić właśnie ze względu na dwuznaczne oblicze Radia, nawet jeśli zachowuje ono pozycję niewątpliwego lidera katolicyzmu ludowego, potencjalnie tradycjonalnego. Katolicyzm ludowy to jednak tradycja i ortodoksja na co dzień nie uświadamiona i nie pielęgnowana. Jego konserwatywny potencjał nie działa sam z siebie. Radio Maryja korzysta z tego potencjału, manipuluje jego składnikami, odwołuje się do niektórych intuicji konserwatywnych, wybrane z nich rozwija - lecz nie tworzy nowej jakości świadomego konserwatyzmu. Tymczasem zwłaszcza dziś, w zderzeniu z modernizacją, tej nowej jakości bardzo potrzeba. „Trzeba ożywić szacunek dla tradycji – mówił abp Józef Michalik w wywiadzie dla „Christianitas”. I dodawał: – Niestety, żyjemy dziś w atmosferze hurraentuzjizmu dla zmian, nawet w Kościele. Tymczasem zdrowa tradycja, która nie ma nic wspólnego z zamknięciem na rozwój, gwarantuje przekaz tego, co najważniejsze, w zmieniających się czasach”.

Używane przez „partię zmian” – i w świecie, i u nas - stwierdzenie, że „Kościół też się zmienia”, jest na tyle banalne, że może służyć jedynie jako tępę narzędzie do udowadniania tępoty „przeciwników zmian”. Problem nie polega jednak na tym, czy się jest ogólnie „za” lub „przeciw” zmianom w Kościele – lecz na tym, czy zmianę traktujemy jako, potrzebny lecz drugorzędny, proces życiowy kościelnego organizmu towarzyszący przekazywaniu niezmiennych prawd zmieniającym się pokoleniom, czy jako sam istotny sposób bycia Kościoła, który udowadnia, że on żyje i że nadąza za światowym życiem. Jest to więc spór między tymi, którzy sądzą, że Kościół, oblubienica Chrystusa, powinien myć się, obcinać paznokcie i czesać włosy oraz co jakiś czas wymieniać garderobę – a tymi, którzy sądzą, że nie obędzie się tu bez liftu i kolejnych operacji plastycznych, po których oblicze Kościoła zmienia się jak kolejne twarze Michaela Jacksona.

Dyskusowanie o zmianach w Kościele byłoby też zajęciem jałowym, gdyby nie sprecyzować o jakie zmiany chodzi. Na ogół mówi się o dostosowaniu do dnia dzisiejszego, czyli tzw. *aggiornamento*. Jednak kto poślubia dzień dzisiejszy, ten jest wdowcem już nazajutrz. Gdy kilkadziesiąt lat temu kończył się Sobór Watykański II, liderzy „wielkich orientacji Soboru” byli pełni optymizmu względem współczesnego świata - optymizmu tak silnego, że mimo woli ogromnej liczby ojców soborowych nie dopuszczono do oficjalnego potępienia (zbrodniczego) komunizmu, będącego składnikiem współ-

czesności i uznawanego przez część wybitnych teologów za siłę postępu i rozwoju ludzkości, której nie należy do siebie zrażać. Dziś ten optymizm w ocenie kierunku rozwoju świata znacznie przygasł. Fakty takie jak gwałtowna dechrystianizacja Europy (przy równoczesnym nasileniu skutecznych presji antychrześcijańskich wewnątrz instytucji unijnych i w ustawodawstwie niektórych krajów), masowe podboje sekt w Ameryce Łacińskiej i mizerne owoce misji, zagrożonych agresywnym islamizmem, nie pozwalają snuć kolorowych marzeń.

Na dodatek procesy dechrystianizacyjne, polegające na niszczeniu instytucji dawnej cywilizacji chrześcijańskiej Zachodu i rozbijające społeczną tkankę świata chrześcijańskiego, wchodzą także do wnętrza Kościoła – w postaci sygnalizowanego przez papieża Jana Pawła II głębokiego kryzysu wiary u samych katolików, i to niekoniecznie tych szeregowych i prostych (w końcu *Dominus Iesus*, najbardziej dramatyczna z deklaracji ogłoszonych w ostatnich latach na polecenie Papieża, upominająca się o wiarę w Chrystusa i Kościół, zwrócona była faktycznie do elit profesorskich wydziałów teologicznych i seminariów duchownych). Kryzys wiary niekoniecznie polega na widocznej apostazji – może być procesem stopniowej redukcji tajemnic wiary do ogólnoludzkich przekonań i banalnego moralizatorstwa. To zaś ma też swój oddźwięk w liturgii – w jej reformie i w jej sprawowaniu – w postaci desakralizacji, wyzbywania się uświęconych form właśnie dlatego, że są zbyt obce zewnętrznemu światu, czyli odległe od estetyki MTV i ciepłoty komedii romantycznej. Istnieje zatem – oczywiście obok pewnych zjawisk pozytywnych - fala negatywnych zmian, w której społeczna dechrystianizacja, wewnątrzkościelny kryzys wiary i desakralizacja liturgii są połączone jak klocki domino.

Zarówno mapa całego Kościoła, jak i ideowa mapa polskiego katolicyzmu tworzy się dziś nie tylko na tle wspomnianego na początku sporu ogólnokościelnego między „partią porządku” i „partią zmiany”, lecz i na tle odmiennego interpretowania procesu dechrystianizacji. Interpretacje te mają natychmiast swój wymiar praktyczny – są podstawą różnych strategii wobec rzeczywistości *aggiornamento* wymuszanej przez dechrystianizacyjne domino. Jedna z nich polega na nowej wersji starego optymizmu: straty chrześcijaństwa są pozorne, tak naprawdę wszystko idzie w dobrym kierunku - świat laickich demokracji i praw człowieka staje się mimo wszystko lepszy, a idąc wraz z nim (z czasem, z postępem, z osiągnięciami) Kościół oczyszcza się ze swych starych pokus władzy. Tak myśli się u nas w kręgu „Tygodnika Powszechnego” i to można było usłyszeć na niedawnym lubelskim Kongresie Kultury Chrześcijańskiej, z ust „czeskiego Tischnera”, ks. Tomáša Halika. Główną troską staje się tutaj obawa, by dechrystianizacja nie spowodowa-

ła aby wyłonienia się „katolickiego fundamentalizmu” i nie sprowokowała „wojny religijnej”. Jeśli to nie nastąpi, spokojna głowa: Kościół będzie mógł celebrować swoją wiosnę, choćby ciepłe klimaty panowały jedynie w matrixie oficjalnego optymizmu. Można jednak pytać, czy wyznawcy tego stanowiska wzięli w dostatecznym stopniu pod uwagę mądrą przestrożę kardynała Josepha Ratzingera przed „chrześcijaństwem zaadaptowanym” – dopasowanym do wymagań świata, a wrogim względem chrześcijańskiego nonkonformizmu.

Czasami wizja „optymizmu mimo wszystko” przekształca się w swoisty pozytywny fatalizm: może i chcielibyśmy, żeby było inaczej, ale widocznie tak musi być, w tę stronę zmierza historia i cywilizacja, więc i my musimy w tę samą stronę zmierzać. Takie myślenie tworzy zresztą osobną strategię konformistyczną, chętnie przyjmowaną przez ludzi deklarujących swoje „centrowe” przekonania. Wiele razy słyszałem takie opinie od różnych ludzi Kościoła, kompensujących swoje poczucie bezsilności lub uzasadniających swoją bierność. Oni np. nie chcieliby, żeby różne postępowe nadużycia, promowane z reguły przez ekspertów a nie upragnione przez parafian, stawały się w liturgii normą, a wykładowcy teologii demoralizowali studentów swoimi inspirującymi wypadami poza ortodoksję – ale wolą milczeć i obserwować, dokąd zmierza „dziejowy proces odnowy” i „reformy”. Gdy zaś istotnie jakieś nadużycie stanie się gdzieś normą, milczą tym bardziej, gdyż jedność i wspólnota zobowiązuje. Dla strategii konformistycznej czymś najbardziej niebezpiecznym jest bowiem każda forma nonkonformizmu, niezależnie od jej treści.

Jednak w łonie instytucji kościelnych i we wspólnocie wiernych istnieje także jeszcze inna strategia, chętnie odwołująca się do zjawiska „pokolenia Jana Pawła II”. Można ją nazwać – kalkując pojęcie występujące na Zachodzie – „tożsamościową”: wobec nacisku dechrystianizacji, wewnątrz społeczeństwa pluralistycznego, w sytuacji konkurencji różnych ideologii – katolicy powinni „pozostać sobą”. Strategię tę można oceniać przez pryzmat niewątpliwych osiągnięć, polegających na tworzeniu małych wspólnot wiary przeżywanej entuzjastycznie i – w pewnym sensie – bezkompromisowo. W świecie mówi się już o całej sieci takich wspólnot tożsamościowych, pozostających w symbiozie z niektórymi wybijającymi się hierarchiami, znajdujących oparcie w niektórych diecezjach i zaznaczających się już także pozytywnie w nowych rocznikach księży. Słabością tego nurtu jest zaś swoiste wycofanie z forum debaty publicznej, zamknięcie w wymiarze czysto duchowym i wspólnotowo-rodzinnym. „Bycie sobą”, owszem, promieniuje – ale rezygnacja z ewangelicznego „nauczania wszystkich narodów” lub zgola programowe lekceważenie sporów o ład moralno-prawny wydaje się być pozosta-

łością złego fatalizmu. Kościół nie jest bowiem w świecie po to, by dokładać do niego swoją „tożsamość”, lecz aby zgodnie z wolą swego Założyciela przemieniać tożsamość świata, zbawiać go od jego głupoty i grzechu. To czytamy w encyklikach papieskich, bo to znajduje się w Ewangelii.

Występująca w ramach strategii „tożsamościowej” ideologia „milczącego świadectwa” miewa swój wymiar godny Wernyhory lub Towiańskiego: oto Kościół przechodzi właśnie swoje mistyczne konanie i ukrzyżowanie, niech więc milczy jak Zbawiciel – kto bowiem usiłuje teraz bronić cywilizacji chrześcijańskiej i za głośno krzyczy, ulega pokusie zejścia z krzyża. Chyba najpiękniejsze z fatalistycznych uzasadnień bierności, w chwili gdy miliony dużych i maluczkich ulegają zgorszeniu.

Istnieje wreszcie strategia ostatnia, najmniej uprawiana – strategia oporu, „nie damy pogrześć wiary”. Trudno powiedzieć, co jest w niej straszniejsze dla konformistów: czy to, że kojarzy się dziś głównie z integryzmem i lefebvryzmem, czy to, że wymaga odwagi cywilnej. W każdym razie to pierwsze skojarzenie jest dziś najczęstszym uzasadnieniem, by „nie stawiać oporu złu”, a czasem także uzasadnieniem, by nie nosić sutanny czy nie posłużyć się w modłach zalecaną przez Vaticanum II łaciną. Tymczasem opór w niektórych sytuacjach jest jedynym rozwiązaniem możliwym do przyjęcia. Co nie znaczy, że ma być to opór z zasady desperacki i podszyty sekciarską antyhierarchiczną zaciętością. A taki niestety bywa w wykonaniu osamotnionych i, trzeba czy nie trzeba, wyklinanych sztandarowych reprezentantów strategii oporu. W zapleczu tkwi zapewne myśl – znów niepokojąca fatalizmem – że świat jest obecnie aż tak zły, iż swoim oporem możemy wyłącznie dać świadectwo prawdzie, która (prawie) nikogo nie przekona. Umierajmy więc, byle w swoim szyku i w miarę powoli. A potem Sąd.

Dokonując krótkiej charakterystyki tych kilku strategii, zdaję sobie sprawę przed jak wielkimi wyzwaniem stanęliśmy wszyscy. Papież mówi w książce *Przekroczyć próg nadziei* o wielkim naddludzkim zmaganiu między siłami ewangelizacji i antyewangelizacji. W tej sytuacji ostatnią rzeczą, na jaką miałbym ochotę, są kpiny z wysiłków różnych ludzi, którzy usiłują znaleźć drogę wyjścia różnymi sposobami. Sądę jednak, że ten obraz rozproszonych dążeń wielu szlachetnych ludzi nie oznacza, że wszyscy szlachetni ludzie mają taką samą rację. Myślę nawet, że niektórzy z nich nie mają racji kompletnie. Inna rzecz, że żadna z przedstawionych strategii nie wydaje się wystarczająca. Każda z nich jest mniej lub bardziej dotknięta niechrześcijańskim fatalizmem. Wszyscy jakby się zgodzili, że pewne procesy dzieją się same, że nic ich nie odwróci, że albo się im poddać, albo już umrzeć bohatersko.

„Układ strategiczny”, który przedstawiłem, ma cechy stałości – jednak akurat tu nic nie jest wieczne i nienaruszalne. Można i należy działać na rzecz jego przeformułowania lub wręcz rozbicia – a są wydarzenia, które to ułatwiają lub nawet zapowiadają. Czymś takim mogła być sprawa Buttiglione, okazja do utraty złudzeń co do kompromisu między siłami laickimi i chrześcijańskimi na płaszczyźnie moralnej neutralności polityki. Czymś takim była natomiast z pewnością tegoroczna kontrowersja wokół filmu *Pasja*. Działy się wtedy cuda: za tym nie-zwykłym filmem, zrobionym niezwykle nowoczesnie według reguł najbardziej klasycznej katolickiej teologii, murem stanęli wszyscy tradycjoniści z kontrreformacyjnego „ruchu oporu” – to nie dziwi; ale obok nich stanęli także bez wahania liczni „tożsamościowcy”, poza tym film obudził także niektórych „konformistów”, dotknął swoim wpływem nawet wybrane osobistości spośród „entuzjastów”. Taka chwilowa koalicja nie byłaby mimo to aż tak dziwna, gdyby nie dwa fakty leżące u jej podstaw: zawiązała się ona w obronie filmu zadziornego i nonkonformistycznego w swym radykalizmie wyznania wiary, a musiała – i zechciała sama – przeciwstawić się wszechwładzy teologicznych ekspertów z episkopackich sekretariatów, obnoszących się ze swym listem żelaznym „posoborowości” i sygnująca swe przekonania wielką pieczęcią naukowości. Bitwa została rozegrana – i wygrała ją koalicja. W Ameryce był to kolejny przejaw „nowego ekumenizmu”, zgodnie z którym katolicy tradycjoniści czy konserwatyści, charyzmatyczni ewangelicy i konserwatywni żydzi maszerują razem np. w obronie życia. W Polsce, gdzie sytuacja wyznaniowa jest inna, mieliśmy do czynienia raczej z pewnym „ekumenizmem” wewnątrzkatolickim. Co ciekawe, jego ideową platformą stała się ortodoksja – nie uśpiona, wegetująca w kazamatach „własnej tożsamości” lub skrzywiona w „oporze”, lecz żywa, radykalna, przeżywana. I jest to fakt, który pozwala mieć nadzieję, że dotychczasowy „układ strategiczny” ulegnie dekompozycji, *ad maiorem Dei gloriam* – na rzecz czynnika jakościowo nowego: ortodoksji radykalnej.

Ciekawe, czy szansę na wyodrębnienie się tego żywego nurtu zauważają już dziś polscy biskupi, obciążeni przez Sobór „troską o wszystkie kościoły”. Byłoby przecież najlepiej, gdyby nowy żywioł, nie tracą swego nonkonformizmu, właśnie w nich znalazł oparcie i przewodnictwo.

Na mapie współczesnego polskiego katolicyzmu byłby to w zasadzie jedyny ośrodek wyraźnie wolny od skrępowania fatalizmem, za to ufny we własną żywotność wiary – pogłębionej, ale i ekspandującej, wolnej od pokusy bezwolnej imitacji świata. Tę żywotność widzę już dziś w aktywności bliskich mi środowisk skupionych wokół tradycyjnej Mszy łacińskiej, w formacji Opus Dei, w prowadzonej przez charyzmatyków walce duchowej z ideologią New Age, we „Fronkowej” wersji neokatechumenatu, w dyskur-

sie cywilizacyjnym poszczególnych historyków czy filozofów młodszego pokolenia... Chodzi o cały „archipelag” ortodoksji radykalnej. O tym, co myśli się na poszczególnych „wyspach” tego „archipelagu”, można się dowiedzieć zaglądając do „Frondy”, „Arcanów”, „Listu” czy „Christianitas”, z tekstów reprezentatywnych przedstawicieli tych środowisk. Tymczasem mieszkańcy różnych „wysp” tego „archipelagu” dyskutują ze sobą na czatach i forach internetowych – czasem znajdują wspólny język, czasem się na siebie, nie bez powodów, złością. Coś się kluje. Kościół w Polsce, istotnie, zmienia się. Szukajmy więc dróg na nowej mapie, na odkrywanym stopniowo archipelagu ortodoksji radykalnej.

Paweł Milcarek
redaktor naczelny *Christianitas*